

Przemoc w teatrze

AKTORSTWO NIE POLEGA NA RAZENIU PRĄDEM

Ponad dekadę temu jako pierwsza zbuntowała się przeciw opresji w teatrze. Joanna Szczepkowska opowiada nam o długiej tradycji teatralnej przemocy oraz jej doli na Dole i w Pudle.



Witold Mrozek

Kiedyś ogłosiła koniec komunizmu, od kilku lat nie ma etatu w publicznym teatrze. Gdy w 2010 r. grała premierę w spektaklu „Persona. Ciało Simone” Krystiana Lupy, najważniejszego polskiego reżysera, w akcie sprzeciwu wobec jego stylowi pracy obnażyła pośladki i wykonała gest hitlerowskiego pozdrowienia. Wtedy krytycy obwołali jej gest żenującym – dziś feministyczne badaczki piszą o akcie buntu „przeciwko Lupie, przeciwko bierności kolegów i koleżanek słuchających poleceń reżysera oraz przeciwko Teatrowi Dramatycznemu, który pozwalał artyście na zbyt wiele” albo przeciw „patriarchalnej opresji”.

Szczepkowska próbowała też walczyć o prawa pracownicze jako prezeska ZASP – najstarszej zawodowej organizacji aktorskiej w Polsce. Dziś prowadzi własny Teatr na Dole, a podczas pandemii gra w kartonowym pudle.

13 kwietnia odbierze Kamyk Puzyny – nagrodę „Dialogu”, miesięcznika teatralnego wydawanego od 1956 r.

ROZMOWA Z
JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ

WITOLD MROZEK: „Za angażowanie się w obronę przegranych spraw, za ryzykowanie śmiesznością, za prowokowanie dyskusji, za nonkonformizm i wypowiadanie na głos tego, czego inni wypowiedzieć nie mają odwagi, za wierność sobie i wkładanie kija w mrowisko, za śmiałość i osamotnienie, za końce i początki, które ogłosiła lub spowodowała” – tak brzmi uzasadnienie przyznania pani Kamyka Puzyny. Jak pani zareagowała, słysząc takie słowa?

JOANNA SZCZEPKOWSKA: Zdziwieniem. Nie spodziewałam się już żadnych nagród. Ta nagroda to coś w rodzaju happy endu. Oswoiłam się już z osamotnieniem. I nagle taka nagroda, z takim podsumowaniem...

Obserwując debatę o przemocy w polskim teatrze, ma pani ochotę powiedzieć: „A nie mówiłam!”? – Tak. Ile razy ktoś z charakterystycznym szyderstwem mówił, że to, co robię, to donkiszoteria, i pytał, co to da, odpowiadałam: „Może kiedyś coś da”. Liczyłam się z tym, że to może się stać w pokoleniu, którego ja już nie zobaczę. Udało się wcześniej.

Wsparła pani Annę Paligę, absolwentkę łódzkiej Szkoły Filmowej, która ujawniła przypadki mobbingu i molestowania na tej uczelni. Sama ma pani na koncie nieudaną współpracę z byłym rektorem Mariuszem Grzegorzkiem. Napisała pani o tej pracy: „toksyczna, poniżająca”. – Pomyślałam, że ta kobieta może spotkać się z niedowierzaniem innych, odczuwać samotność. Postanowiłam ją wesprzeć i napisałam krótki komentarz do grupy Kobiety Filmu na Facebooku – nie miałam pojęcia, że to będzie miało taki odzew. Pomyślałam, że może ona to przeczyta i poczuje się rażniej.

Moje spotkanie z tym reżyserem to był jeden z pierwszych schodków, które wyprowadziły mnie na zawsze z teatru instytucjonalnego. Ja się mu nie poddałam, miał trudnego przeciwni-

ka, ale to była strata energii i czasu. Próby to jest czas twórczy. Po co tracić ten czas na odpieranie złośliwości, toksyn?

Wyobrażam sobie, że jeśli on mógł postępować tak z doświadczonymi aktorami, to mógł pójść dużo, dużo dalej w przypadku młodych.

Ukończyła pani PWST w Warszawie, dzisiejszą Akademię Teatralną. Zetknęła się tam pani w tamtych czasach z przemocą, z takimi historiami, jakie teraz wychodzą na światło dzienne?

– Ja nie trafiłam na takich profesorów, ale o innych, którzy w tym czasie uczyli, krążyły legendy. Nie chcę podawać nazwisk – tamci profesorowie już nie żyją. Ale była na przykład profesorka, znana aktorka, która „otwierała” studentów przez psychiczne tortury. Chodziło jej o to, żeby student się rozpadł, przeżył traumę i zaczął rozwój od poskładania się na nowo. Powiem wprost – takie podejście to czyste amatorstwo. Zresztą tę aktorkę tak właśnie środowisko określało. Zawodowe aktorstwo jest świadome. Uczymy się tworzyć iluzję emocji, a nie popadać w emocje, jakby nas ktoś prądem raził.

Słowem, które pani przywołuje, mówiąc o swoich działaniach sprzed 11 lat, jest „donkiszoteria”, ale jest ono dość eleganckie. Przypomnę, jak o tym wtedy mówiono: „groteska”, „pensjonarski wyglup”, „żenada”. Zwłaszcza ta „żenada” powraca do dziś w odniesieniu do pani gestu z premiery Krystiana Lupy. – Mnie rozbawił „pensjonarski wyglup” – co w tym było pensjonarskiego?

Wie pani, że powstaje o pani geście doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim? Badaczka Katarzyna Waligóra, wychodząc między innymi od tamtej

premii, próbuje przewartościować słowo „żenujący”.

– Naprawdę? (śmiech). Ciekawe. Rzekniesz, że przez lata uchodziłam za żenującą.

Waligóra używa kategorii „żenującego performansu kobiecego” jako czegoś emancypującego, czegoś, co najpierw wywołuje zażenowanie, pouczenie, załamywanie rąk, a ostatecznie okazuje się wyprzedzać społeczną zmianę. Mogę wysłać pani fragment. – Bardzo chętnie. Myślę, że ważnym aspektem tamtego gestu jest to, jak ja sama to przeżywałam. Nie czułam satysfakcji, nie miałam poczucia triumfu. Po spektaklu do garderoby przyszli znajomi, którzy byli na premierze. Podobnie jak większość publiczność myśleli, że to, co zrobiłam, było w scenariuszu spektaklu. A ja trzęsłam się, jakby mnie podłączyli do prądu. Pytali: „O chodzi? Co się stało?”. Powiedziałam: „To jest koniec mojego zawodu”. Bo miałam poczucie, że już nic nigdy nie zagram. Ważne jest, żeby ci, którzy jakoś się tym gestem interesują, wiedzieli, jaką on miał dla mnie wagę. Dla mnie miał wagę rewolucyjną i wiedziałam, że będę jego pierwszą ofiarą.

Powiedziała pani wtedy: „Sama bym siebie zwolniła”. Ale to nie był pani koniec jako aktorki.

– Nie było kogo zwalniać, bo w czasie premiery „Ciała Simone” już nie byłam aktorką tego teatru. Trzy miesiące wcześniej złożyłam wypowiedzenie, ale Krystian Lupa chciał, żebym została w jego spektaklu, więc umówiłam się na dziesięć prób. Moja niezgoda na to, co się działo, jeszcze w trakcie tych dziesięciu prób urosła, więc zdecydowałam się „przekroczyć granicę”, o których reżyser mówił i do czego namawiał.

A słowa, które pan przywołuje? Oczywiście, że zwolniłabym aktor-

Była na przykład profesorka, która „otwierała” studentów przez psychiczne tortury. Chodziło jej o to, żeby student się rozpadł, przeżył traumę i zaczął rozwój od poskładania się na nowo



FOT. JEDRZEJ NOWICKI / AGENCJA GAZETA

kę, która „przekracza granice własnej kompromitacji”, bo tego po prostu nie wolno robić.

Ale założyła pani własną scenę, Teatr na Dole. Jak do tego doszło?

– Dostałam propozycję od Teatru Studio. Nic złego mi się tam nie działo, a mimo to po prostu kipiałam. Miałam poczucie, że mój potencjał twórczy wyparowuje z dnia na dzień. Były też inne sprawy, zaczął się konflikt między dyrektorami – Romanem Osadnikiem a Agnieszką Glińską. To był już któryś z moich teatrów, w którym niezależnie ode mnie nabrzmiewał ja-

kiś problem. Miałam znowu poczucie straty czasu – a czas uciekał.

Poszłam podpisać kolejną sezonową umowę. Weszłam do gabinetu i nagle odłożyłam długopis. Wchodziłam z myślą, że podpiszę, a wyszłam bez umowy, bez etatu, i poczułam prawdziwą ulgę. No i oczywiście strach.

Często podejmuje pani decyzje dopiero w gabinecie?

– Zdarzyło mi się to jeszcze dwa razy. Raz dyrektor pewnego bardzo nowoczesnego teatru zaproponował, żebym dołączyła do jego zespołu. Poszłam tam i zobaczyłam człowieka wykreowanego, a rozmowa ze mną to był jakiś spektakl. Nie zdecydowałam się, bo było mi to obce. Innym razem dyrektor ze starszego pokolenia, z istotnego dużego teatru, był przy podpisywaniu umowy o dziesiątej rano kompletnie pijany. Zrobiłam dokładnie to samo – odłożyłam długopis i wyszłam.

Ale to inne sprawy, w tamtych przypadkach nie chciałam po prostu, żeby byli moimi szefami. W Studiu rosło we mnie poczucie, że będę śrubką w mechanizmie, a ja chciałam wielkiej przygody.

I założyła pani teatr.

– Nie miałam pieniędzy, nie miałam nic. Jak już ochłonęłam w tej wolności, wzięłam komputer i zaczęłam szukać sal do wynajęcia. Miałam pięć swoich sztuk – to już może wystarczyć na repertuar teatru, na początek. Trafiały się jakieś małe, urzędnicze salki, nie nadawały się w ogóle. I nagle zobaczyłam bardzo dziwną chatkę w środku miasta...

Na Żurawiej.

– ... tak, ale wyglądało to naprawdę przedziwnie. Zadzwoiłam tam, jakiś pan powiedział, że mają małą scenkę, więc natychmiast tam pojechałam. To było zachęcające wnętrze. Jakies kanapy, żyrandole, lampki, a na dole maleńka scena. Mieli wolne środy. Pomyślałam: teraz albo nigdy, bez względu na trud i ryzyko. Ale prawdziwego teatru nie da się zrobić np. bez oświetlenia, więc znów komputer, google – „oświetlenie teatralne”... Trafiłam na firmę Piotra Pawlika, jednego z najlepszych oświetleniowców w Polsce, powiedziała mi, że mam taki pomysł, a on wdał się w to całym sercem.

Nie miałam pieniędzy na reklamę ani innych możliwości promocji.

Ile razy ktoś z charakterystycznym szyderstwem mówił, że to, co robię, to donkiszoteria, i pytał, co to da, odpowiadałam: „Może kiedyś coś da”

Mało kto o moim teatrze wiedział, pisałam o tym po prostu na Facebooku...

Liczyłam się z tym, że na pierwsze przedstawienia mogą przyjść nawet trzy osoby. Napisałam na stronie, że teatr będzie grał nawet dla jednego widza. I nagle widzowie zaczęli napływać przez tzw. plotkę szeptaną. Nie oddałabym tego przeżycia za żadną rolę w sali z kryształowymi żyrandolami. W Teatrze na Dole nie groziła rutyna, każdy spektakl był ryzykiem, sama robiłam dekoracje, nauczyłam się nawet modelarstwa. Kiedy robiliśmy premierę „Sokratesa”, był taki tłum, że nie mogłam precyzyjnie się na scenę.

Dziś możemy tylko za tym tęsknić. Nawet jeśli akurat teatry w danym miesiącu są otwarte, trzeba zachować dystans, siadać co drugie, trzecie miejsce...

– Nie, nie wpuszczę widzów na takich warunkach. Widownia w masce – odpada, w tej piwnicy ludzie by się podusili. Jednak to jest piwniczka, niełatwo przewietrzyć salę. W ostateczności będę szukać nowego miejsca,

Kamyk Puzyny

• Uroczystość symbolicznego wręczenia Kamyka Puzyny odbędzie się online 13 kwietnia 2021 o godz. 12.

• W ubiegłych latach laureatami Nagrody im. Konstantego Puzyny byli Komuna Warszawa (2015), Justyna Sobczyk (2016), protestujące aktorki, aktorzy oraz publiczność Teatru Polskiego we Wrocławiu (2017), Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy działający pod dyktando Jacka Głombka (2018), Dorota Buchwald i zespół

Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszeńskiego w Warszawie (2019) oraz Ewa Guderian-Czaplińska (2020).

• Nagroda powstała z inicjatywy redakcji „Dialogu”, a jej fundatorem jest Instytut Książki. Przyznaje ją Kapituła złożona z redaktorów „Dialogu” i kolejnych laureatów. Laureat otrzymuje statuetkę Kamyk Puzyny zaprojektowaną przez Krzysztofa M. Bednarskiego oraz 10 tys. zł.

choć to ma swój niepowtarzalny urok. Tęsknię bardzo, widzowie dzwonią, też tęsknią.

Teraz robi pani online’owy Teatr Pudło – w kartonie.

– To, można powiedzieć, taka filia Teatru na Dole. Kiedy teatry się zamknęły, miałam do wyboru – albo się zapisać psychicznie, bo przecież stałam się bankrutem pod każdym względem, albo coś wymyślić. Zobaczyłam za kanapą złożone pudło, zaraz nagrałam w nim oświadczenie, że będę robić teatr w tym pudle.

Powiedziała pani: „Tak na razie wygląda sytuacja”.

– I tak wciąż wygląda. Chciałam się sama zdyscyplinować. Wiedziałam, że jeżeli tego nie zapowiem, to nic nie zrobię. Od tamtego czasu staram się w Pudle wypuszczać jedną mikropremierę co tydzień. Czasem siedzę nad tym po nocach. Piszę, montuję, gram różne role, dialoguję sama ze sobą... Poza Teatrem na Dole to największe wyzwanie w moim życiu.

Czytając pani wypowiedzi z ostatnich kilkunastu lat, można dojść do wniosku, że z pani perspektywy – trochę teraz upraszczam – teatr, który określa się jako „nowoczesny”, jednocześnie narusza zasady etyki zawodowej, dobrostan aktora.

– To nowoczesny feudalizm.

Myśli pani, że to się teraz zmienia? Reżyserzy i reżyserki z roczników 80. czy 90. starają się robić teatr, powiedzmy, „fair trade”, deklarują dbałość o to, by nikomu nie stała się krzywda.

– To krucha materia. Wszystko zależy od środowiska. Teatry dalej mogą szantażować utratą pracy. To cały czas jest „stosunek pracy”. Jeśli desperacja, żeby nie dać sobą pomiatać, utrzyma się w tym najmłodszym pokoleniu – artystów, ale i zespołów technicznych – jeśli będą umieli odróżnić normalną pracę od manipulacji i jeśli będą mieli odwagę, wszystko się przekształci. A jeśli przeważa strach, to nowoczesny feudalizm się umocni.

Aha, i jeszcze jedno – w teatrach, w zespołach, na próbach bywa też wspaniale. Bo chyba o tym zapomniałam powiedzieć. ●